

Świetnie zagrani

DO teatru doszedł Stanisław Grochowiak opłótkami. Poeta wybitny, liryk zadumany nad ludzkim życiem, z formą dramatyczną zetknął się początkowo w radio, potem w telewizji. Sam wyznaje, że „przez długie lata młodości pisarskiej teatr mnie najżywczej śmieszył. Owszem, bywałem w teatrze, był to przecież obowiązek człowieka kulturalnego, ale już w tych dwóch sformułowaniach: „Obowiązek” i „człowiek kulturalny” odczuwałem jakiś tu ironii, jakąś przewrotną śmieszność, która nie opuszczała mnie nawet w czasie oglądania tragedii. Bo też proszę przyznać, ile to razy chodzimy do teatru dla niezwykle ważnych wydarzeń towarzyskich przed podniesieniem kurtyny! Wszystko to sztuczne i wymyślone, zdawało się krańcowo odbiegać od moich wyobrażeń o współuczestniczeniu w akcie powstawania sztuki”. Tyle Grochowiak — niechętny widz. Grochowiak — pisarz zgadzał się ze swym sobowtórem. Aż zabłądził do teatru sztuką „Szachy”. I już tam pozostał: „Król IV”, „Partita na instrumenty drewniane”, „Dni przestępne”. We wszystkich tych dramatach dawał się przecież wyczuć ów ton nieufności wobec sceny. Jak gdyby Grochowiak nie był pewien, czy gra na właściwym instrumencie; jak gdyby czuł lęk przed kimś obcym, któremu powierza własne myśli, a ten może je zubożyć, odcedzić, zakłamać. Stąd owa uchwytana w dramaturgii Grochowiaka nuta dystansu pomiędzy tym, co jest mówione, a tym, co było myślane. Stąd też w scenicznych realizacjach (choć często bogatych w znakomicie rozegrane sceny, w błyskotliwe role) wychwytywał widz jakiś niedosyt, trudny do nazwania, a przecież brzęczący w uchu fałszem. I przyszła premiera „Chłopców”. Najpierw w teatrze TV, potem w Krakowie, wreszcie w stołecznym Teatrze Kameralnym: ton poety zabrzmiał głębokim, soczystym dźwiękiem. Grochowiak wszedł w teatr, a ten potrafił mu się za zafanie odwdziżyć.

„Chłopcy” to smutny reportaż z domu starców. Oderwani od życia, zabudowują oni pustkę swego czasu fikcyjnymi czynnościami, marzeniami, pozorami konfliktów. Z upływem dni pozory nabierają cech realności: świat wymyślony staje się światem rzeczywistym. Starce miłości, starce wspominki, starce klótnie i pijatyki. I nagle w ten letargiczny pejzaż wdziera się brutalny świat zza okna: do jednego z pensjonariuszy przyjdzie żona, zdecydowała się zabrać go z powrotem do domu.

Ta jedna interwencja zewnętrzności starca, by zawałił się cały wymyślony, fikcyjny świat starców, ich miłości i swary uzyskują nagle okrutny kształt udania, są surrogatem, są z miast. Lecz nie! — bo porwany przez żonę pan Kalmito wracając jego prawdziwym życiem okazało się to przytułkowe, w którego realność zdążył uwierzyć. I sędziwi „chłopcy” znów mogą bawić się dalej. Smutno sztuką Grochowiaka nie jest więc sztuką pesymistyczną. Mimo brzydoty swego pejzażu (którą w warszawskiej inscenizacji akcentuje sugestywna scenografia Zofii Pietrusińskiej, pstrzaca ściany przytułku żółtym grzybem zacieka i wyblakłych tapety mówią „Chłopcy” o tym, iż nawet najmniej atrakcyjna forma bytu uzyskuje sens, jeśli się w nią mocno wierzy. Filozofia to mało pojętna, a przecież kryje się w niej jakaś zasadność. Nie wybieramy sobie światów, należy barwić te, w jakich przychodzi nam żyć.

Swoje małe prawdy wyklada Grochowiak językiem prostym, zwyczajnym, a przy tym pełnym poezji i dowcipu. Dialogi „Chłopców” prowadzone są w sposób, który pozwala różnicować psychikę bohaterów: zawodniaki, warszawski ex-liberal Pożarski; zrezygnowany Kalmito, prostaki, ale nie tracący humoru Jo-jo, zdzieciński Hrabina de Profundis. Obok nich ludzie z planu prawdziwego życia, także pogrążeni w obsesjach i kompleksach: surowa Siostra Maria, wyrozumiała Siostra Przełożona, przegrywające swe niepodległe życie, a potem nawet swe powtarne próby małżeńskie Kalmitowa. Galeria sylwetek różnicowana, każdy z bohaterów jest pełnoprawnym nosicielem jakiejś części tej grochowiakowej filozofii, która składa się na finalny morał „Chłopców”. Aktorzy potrafili wyzyskać tę różnorodność literackiego tworzenia. Kierowany przez reżyserkę, Wandę Laskowską, zespół Teatru Kameralnego zjednoczył się w grze, pełnej psychologicznych cienkości, wyrafinowanego rozgrywania nastrojów. Zwłaszcza Tadeusz Fijewski (Kalmito), Justyna Kreczmarowa (Kalmitowa), Zofia Malinicz (Przełożona), Władysław Hańcza (Pożarski) zachwycali mistrzostwem w wykończeniu każdego szczegółu roli: każda reakcja mimiczna, rytm zdania, zwrot głowy nasycony był wewnętrzną treścią emocjonalną. I pozostali reszta partnerzy (którym tekst stwarzał nieco mniejsze możliwości) wyłazli się brawurowo ze swych zadań. Spektakl był rzadkim przykładem zespołowego myślenia: przed stu laty krytyk napisałby, iż „gra jednego pomażała się przez grę drugiego” (Wł. Bogusławski). I dziś można użyć tego zwrotu bez obawy wpadnięcia w komplementarski przesade.